

Ryszard Biesek

emerytowany górnik-projektant

Święta Bożego Narodzenia 1976 r. z dala od domu

Ile razy zbliżają się Święta Bożego Narodzenia tyle razy wracają wspomnienia spędzania tych świąt poza domem rodzinnym. W latach 70-tych i 80-tych ubiegłego wieku dość długo przebywałem na kontraktach zagranicą. Najdłużej przebywałem w Indiach budując i projektując tam kopalnie węgla kamiennego. Parę wigilii Bożego Narodzenia świętowałem w towarzystwie polskich górników oraz polskich projektantów właśnie w Indiach. Przyznać trzeba, że każda z tych wigilii była świętowana inaczej, była przeżywana inaczej lecz zawsze pozostawała nostalgia, były wspomnienia o świętowaniu tych rodzinnych świąt wśród rodziny, były opowiadania o domowych przysmakach no i oczywiście o śniegu, mrozie i gwiazdce jak i o pasterce. Podzielę się wspomnieniami o jednej pasterce świętowanej w Indiach.

Wyjazd nad morze

W roku 1976 zespół projektantów pracujący na rzecz Państwowego Zjednoczenia Węgla Koksowego w Dhanbadzie w Stanie Bihar (obecnie Stan Jharkand) postanowił wybrać się nad morze na czas Świąt Bożego Narodzenia, do indyjskiego kurortu nad Zatoką Bengalską – Puri. W owym czasie Purii było dla hindusów ze stanów Zachodni Bengal, Bihar, Orissa tym czym dla nas był i jest Sopot. Po załatwieniu formalności, sprawdzeniu autobusu oraz zarezerwowaniu noclegów w najlepszym, na owe czasy, hotelu należącym do południowo-zachodniej kolei, wybraliśmy się z rodzinami na wczasy świąteczne. Odległość do pokonania to tylko 600 km, w grudniu. Lecz temperatura powietrza wynosiła 30⁰ C, klimatyzacja pełna poprzez otwarte okna autobusu. Przyznać należy, że mieliśmy okazję zwiedzić kawałek Indii w Stanach Bihar i Orissa. Jadąc praktycznie cały dzień, wreszcie wieczorem dotarliśmy na miejsce. Hotel o pięknej architekturze kolonialnej miał swoje piękne czasy dawno za sobą. W pokojach czuć było naftaliną, to normalny zapach w Indiach w hotelach. Łóżka wygodne, powykrzywiane, każde obciążone moskitierą, jaszczureczki hasają po ścianach, a w rynnach gnieźdzą się szczury

o białych ogonkach. Po całodziennym podróży autokarem, każdy z nas marzył o jakieś kolacji, kąpieli i do łóżka.

Ksiądz z Polski

Muszę tutaj wspomnieć, że będąc w grudniu w Kalkucie w naszym Konsulacie mówiłem, że planujemy spędzić świąteczny weekend w Purii. Bardzo się pan Konsul ucieszył i poprosił żebyśmy zabrali ze sobą małą paczuszkę i przekazali w Puri, księdzu Marianowi Żelazko, który nie tak dawno został skierowany do Purii na parafię rzymsko-katolicką. Tak dowiedziałem się, że w Purii posługę pasterską pełni ksiądz-werbista z Polski o. Marian Żelazek.

Po dobrze przespanej nocy oraz po śniadaniu – 24 grudnia zaczęliśmy świętować czas świąteczny od zwiedzania plaży nad Zatoką Bengalską. Piasek wspaniały, woda w zatoce ciepła, a temperatura powietrza przed południem oscylowała pomiędzy 24° a 32° C. I gdzie tutaj nastrój Bożego Narodzenia? Gdzie biały śnieg? Ja jednak wybrałem się riksą wraz córką Ewą, na poszukiwanie polskiego księdza i kościoła rzymsko-katolickiego. Po kluczeniu po wąziutkich drózkach miejskich oraz przekazywaniu i pokazywaniu riksarzowi pod jaki adres ma nas zawieść, wreszcie dotarliśmy, a właściwie widzieliśmy wieżę kościółka. Kościółek jak z kartki pocztowej gdzieś z Alp. Taki kościółek jest zawsze pokazywany gdy wspomina się najbardziej znaną kolędę „Cicha Noc”, z jedną różnicą tam zawsze jest biało, dużo śniegu a tutaj szaro, pusto i głucho. Obejście kościółka czyste i ogrodzone. Po wejściu do środka przywitały mnie siostry zakonne, które księdzu pomagają. Po wzajemnym powitaniu oraz wyluszczeniu skąd jestem i z czym przychodzę bardzo się zasmuciły bo ksiądz Marian jest nieobecny, poszedł do parafian. Ja na to, czy będzie pasterka i o której godzinie, bo jest nas tutaj więcej osób z Polski i chcieliśmy przyjść na Pasterkę. Tak, będzie Pasterka o godz. 24⁰⁰ i ksiądz Marian bardzo się ucieszy mogąc ją celebrować także ze swoimi rodakami.

Pasterka

Po kolacji i „krótkich rozmowach Polaków” o wigilii, śniegu, dzisiejszej kąpieli w morzu czas zbierać się na pasterkę. Odległość do kościółka była dość spora, toteż wypadałoby wyjść wcześniej. Grupa około 13 osób wreszcie jest gotowa i idziemy. Jednak droga zajęła nam więcej czasu toteż podchodząc do kościoła siostrzyczki już

na drodze nas wypatrywały i przepaszając oświadczyły, że Ojciec Marian nie mógł już dłużej czekać i rozpoczął mszę-pasterkę. One nas zapraszają do środka do ław ustawionych przed ołtarzem. Ojca Mariana widzieliśmy przy ołtarzu, zamodlonego celebrując mszę św. w lokalnym języku orija. Wierni śpiewali pieśni tylko im znane. Pod koniec mszy św. ksiądz składa życzenia bożonarodzeniowe. Najpierw w języku lokalnym swoim parafianom, potem w języku hindi i na końcu w języku polskim nam jego rodakom. Tłumaczył nam później, że musiał wpierw wytłumaczyć swoim parafianom skąd jesteśmy, że jesteśmy z Jego kraju, z Polski oraz że chcemy wraz z nimi świętować urodziny Pana Jezusa. I dalej życzy nam tego wszystkiego co tylko Polak potrafi powiedzieć. Słyszało się w głosie księdza wielkie wzruszenie, a zarazem wielką radość, że może mówić w swoim ojczystym języku i to do swoich. /Wytłumaczył nam to później./ Nas wszystkich coś ścisnęło za gardło, tak daleko od kraju, od swoich bliskich, a słyszy się to samo co się słyszy u nas w kościele w tym dniu. Nie jeden z naszej grupy połykał ślinę wycierając dyskretnie oczy. Muszę przyznać, że było to przeżycie jednorazowe. Po ceremonii, lokalnym zwyczajem ksiądz wita się przed kościołem ze swoimi parafianami, a jednocześnie składają sobie nawzajem jeszcze raz życzenia. Po pożegnaniu swoich Ojciec Marian przychodzi do naszej grupki i z serdecznym uśmiechem na twarzy dziękuje nam za wspaniały prezent świąteczny jaki dostał. Po 26 latach pracy w Indiach mógł ze stopni ołtarza składać życzenia świąteczne w języku polskim, i to Polakom. Jak się nie wzruszyć. Następnie z serdecznym uśmiechem zaprasza nas na plebanię z góry przepaszając za brak luksusów.

Wspomnienia na plebani

Oczywiście wszyscy chętnie wyrażają gotowość i prowadzi nas padre na tyły kościółka gdzie do ściany jest dobudowane coś co ma stanowić plebanię. Wygląda to na szalęs lecz wykonany z desek i przyczepiony jednym bokiem do ściany kościółka. W środku parę krzesel, parę ławek jakaś półeczka przy ścianie i to wszystko. Zaprasza byśmy na chwilę usiedli gdzie kto może i byśmy się czuli jak w domu. Przepasza, że jest tutaj krótko i jeszcze się nie urządził ale jemu to wystarcza, bo przecież został do Puri skierowany by głosić słowo Boże, a nie mieszkać w luksusach. I tak zaczęły się wzajemne opowiadania o życiu oraz o tym, co my tutaj robimy, jak długo jesteśmy w Indiach? Jak długo jeszcze będziemy i temu podobne. Lecz dla nas bardziej interesujące były wspomnienia księdza. I tak dowiedzieliśmy

się, że w czasie II-giej wojny światowej został zamknięty przez Niemców i siedział w różnych obozach koncentracyjnych, najdłużej w Dachau. Po wyzwoleniu obozu przez amerykańców w 1945 r. oraz po święceniach kapłańskich, jako członek zakonu werbistów, został wysłany na misję do Indii, w rejon Sambalpur w roku 1950, i od tego czasu tutaj żyje, w Indiach. Okazało się, że Sambalpur znajduje się nie daleko rejonu w którym my obecnie pracujemy. 25 lat przebywał wśród aborygenów, Adibasów. Tam zakładał szkoły, szpitaliki oraz tzw. kościółki. Jednak ortodoksyjnym hindusom działalność ta przeszkadzała i państwo zakazało działalności misjonarzom w terenie. Toteż został skierowany w 1975 r. do Purii na probostwo. I tak tutaj jestem już 2 lata. A ponieważ wpierw muszę poznać „swoje duszyczki” toteż na pałace przyjdzie czas. Mówi dalej: kościółek jest malutki, skromny ale miły, ciepły; parafian na razie jest około 110 lecz wierzę, że uda mi się powiększyć tę gromadkę. Oczywiście, dobrze by było wewnątrz kościółka wymalować, zawiesić jakieś obrazy, zakupić dzwon – ale na to brak pieniędzy a państwo indyjskie nie da nic. Dodatkowo założyłem taką małą kolonię dla ludzi wyklętych, niechcianych, odrzuconych, dla trędowatych. Początkowo zebrałem parę chorych z różnych melin, nor aby dać im jeszcze trochę radości z życia. Liczyłem, że kolonia dla ok. 20 ludzi chorych wystarczy na te okolice, jednak szybko okazało się, że gromadka ta dzisiaj liczy już powyżej 100 chorych. Dobrze, że jakiś bogaty hindus dał nam ziemię aby kolonię urządzić. Robimy to powoli, chorzy sami się organizują, sami się rządzą. Sami uprawiają jarzyny i warzywa bo pomocy żadnej. Ja staram się prosić o podstawowe środki lecznicze by zatrzymać tę straszną chorobę. Mam dość dużą pomoc z Polski. Ponieważ trąd zaczyna się wtedy gdy brakuje witamin toteż z naszego kraju dostaje dość duże ilości witamin, np. multiwitaminy. A kiedy Ojciec był ostatnio w Polsce? Czekam na paszport i wizę, na razie mi odmawiano lecz wierzę w to, że kiedyś dostanę.

Długie Polaków rozmowy ...

I tak słuchalibyśmy opowiadań Ojca Mariana bez końca. Lecz o. Marian w końcu sam zaproponował – przecież jak się Polacy spotkają to muszą coś wypić i sobie pośpiewać. Poszedł do swego ogródka, po chwili wraca z butelką wina i mówi: kiedyś dostałem tę flaszkę od Portugalczyków, schowałem do piwniczki – i tutaj śmiech – na specjalną okazję, lecz czy dzisiaj taka okazja nie nastąpiła? Znalazł gdzieś 3 kubeczki i z każdym pił na zdrowie i szczęście. A potem rozpoczął się

chóralny śpiew kolęd. Po jakimś czasie przypomniał sobie, że ma gdzieś płytę z kolędami śpiewanymi przez Zespół Mazowsze oraz polski adapter – i wtedy popłynęła polska kolęda w hinduski eter w Purii. A pamiętać należy, że była to już godzina prawie trzecia nad ranem. W końcu pożegnaliśmy się zapraszając Ojca Mariana jutro (a właściwie już dzisiaj) na świąteczny obiad do hotelu. Zaproszenie zostało przyjęte z dużą radością. Tutaj wypada powiedzieć, że w hotelu były zwyczaje angielskie, a więc zamiast wieczerzy wigilijnej był dopiero świąteczny obiad w 1-szy dzień świąt. Nasz szacowny gość zjawił się w czasie, zasiadł z nami do stołu lecz jadł niewiele. Na pytanie czemu tak mało je? odpowiedział szczerze – dzisiaj się napcham, a jutro znów skromnie. Nie mogę memu organizmowi fundować dużych niespodzianek. Po obiedzie zamiast sjesty, znów rozmowy o Jego przygodach w Indiach. Czas szybko płynął. Na pożegnanie Ojciec Marian złożył nam propozycję aby jutro, w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia wybrać się z nim na wycieczkę do Jego kolonii, do obozu trędowatych. Musi tam jutro pojechać z kolędą i nie może zawieść swoich podopiecznych. O pracy w kolonii dla osób trędowatych, o życiu tych chorych, o problemach i osiągnięciach można by pisać jeszcze długo. Trzeba cały czas pamiętać, że myśmy się spotkali w 1976 r, w drugim roku pobytu Ojca Mariana w Purii. Teraz wiemy, jakich przeobrażeń w mentalności lokalnej społeczności indyjskiej dokonał Ojciec Marian w stosunku do chorych na trąd w przeciągu 30 lat. Oczywiście nikt z naszych projektantów nie odważył się towarzyszyć księdzu do kolonii trędowatych. Ksiądz Marian to rozumiał i wcale się nie dziwił. Tak spędziłem czas Bożego Narodzenia w 1976 r. z dala od domu lecz z rodziną. Czas który pozostawił wspomnienia do dziś.

Katowice, grudzień 2012 r.